

# *Wydaje Świąteczne*

**Antologia 12 opowiadań**

*Wydaje.pl*



## Spis treści

<b>Dla młodszych</b> .....	7
Gwiazdeczka dla Hani .....	9
Elf ratuje święta.....	19
Miś Gungin i Boże Narodzenie.....	35
Tradycyjna magia świąt.....	42
Święta, z przyjemnością... ..	54
(S)pakowane Święta .....	63
„Anonim” Kaina Bref .....	73
Misja Lucjana .....	85
<b>Dla starszych</b> .....	107
Czwarty dzień grudnia .....	109
Dom .....	126
Napisz swoją historię.....	136
Opowiadanie Świąteczne.....	147
Dom Aniołów Stróżów.....	160
O Wydaje.pl .....	163
Dodatek Świąteczny .....	164



*Dla Młodszych*

## *Elf ratuje święta.*

*Monika Kłopeć*

Mam na imię Karolek i mam 8 lat. Jestem elfem i mieszkam w malowniczej wiosce, która nazywa się Świętolandia. Tutaj, wraz z moimi rodzicami i przyjaciółmi pracujemy ciężko cały rok, żeby przygotować prezenty dla wszystkich dzieci. A ponieważ jest ich na całym świecie bardzo dużo, to mamy naprawdę sporo pracy. W centrum naszej wioski stoi duży, kolorowy Dom Świętego Mikołaja. Obok znajduje się ogromna stajnia reniferów, a wokół jest mnóstwo małych domków, w których mieszkamy my – elfy. Mój tata jest szefem w Fabryce Zabawek, a mama pracuje w Sali Listów, gdzie przychodzą listy od dzieci z całego świata. Ja, mimo że jestem jeszcze małym elfem, to wraz z innymi rówieśnikami bardzo lubimy pomagać w przygotowywaniu świąt. Oprócz tego, że wszyscy mamy wiele pracy, to świetnie się przy tym bawimy.

Na dworze spadł pierwszy śnieg. Nareszcie przyszła zima, a to oznacza, że już niedługo będą nasze wyczekiwane Święta Bożego Narodzenia. Mój tata wstał jak zawsze bardzo wcześnie i napalił w kominku. Mama przygotowała śniadanie, a ja wraz z moją siostrą nakryliśmy do stołu. Wspólnie zjedliśmy pyszną jajecnicę, ubraliśmy ciepłe kożuszki i poszliśmy do Domu Świętego Mikołaja. Po drodze spotkaliśmy pozostałe elfy. Potem przywitaliśmy renifery, które już nie mogą się doczekać swojej długiej, wigilijnej podróży.

Wszyscy byli bardzo podekscytowani i szczęśliwi. Święty Mikołaj oczywiście już na nas czekał.

- Ho, ho, ho, jesteście już moje wspaniałe elfy. Witam was serdecznie w ten piękny zimowy ranek – przywitał nas w progu swojego domu i zaprosił do środka.

- Posłuchajcie, mamy naprawdę bardzo dużo pracy. W nocy przysłyły miliony listów, dlatego będziecie musiały pomóc mi je wszystkie przeczytać i posegregować. Następnie musimy wyprodukować wszystkie zabawki dla naszych dzieci. Poza tym, trzeba przygotować sanie, zrobić porządki, przygotować różne smakołyki i potrawy wigilijne, a także ozdobić naszą wioskę kolorowymi światełkami i przyozdobić choinki. Dlatego bardzo proszę wszystkich o pomoc.

- Oczywiście Święty Mikołaju. My wszyscy jesteśmy zvarci i gotowi do pracy – odpowiedział jeden z elfów, a całą reszta przytaknęła.

- W takim razie bardzo się cieszę, ho, ho, ho. Proszę poczęstować się gorącą czekoladą i zapraszam do świątecznych przygotowań.

Moja mama i siostra od razu pobiegły za Mikołajem do Sali Listów. Ja razem z tatą udaliśmy się do Fabryki. Tata wziął młotek i gwoździe, a ja dostałem farby. W ogromnej hali znajdowały się wielkie maszyny przeznaczone do produkcji. Wokół pracowały już elfy. Wszyscy byli uśmiechnięci; śpiewając wesołe, świąteczne piosenki tworzyli najróżniejsze prezenty. Od razu zobaczyłem moich kolegów, którzy w skupieniu

malowali zabawki. Przywitałem się z nimi, otworzyłem swoje farby i od razu zabrałem się do pracy. Malowaliśmy samochody, traktory i różne inne pojazdy przeznaczone dla chłopców. Obok nas, nasze koleżanki szyły ubranka dla lalek. W innej części hali elfy składały rowery, dalej budowały domki dla lalek i tak w każdym sektorze tworzone piękne prezenty. Na końcu, grupa elfów pakowała gotowe zabawki. Wszyscy byli dla siebie jak zawsze bardzo mili, w przerwach piliśmy gorącą czekoladę, jedliśmy ciastka i cukierki, które przynosił nam Mikołaj.

Zima powoli mijała, aż w końcu nadszedł dwudziesty czwarty grudnia. Nasze przygotowania dobiegały powoli końca. Cała nasza wioska była już pięknie wystrojona. Dookoła świeciły kolorowe choinki, sanie były wyczyszczone, renifery najedzone i wypoczęte. W Domu Mikołaja, w kuchni, nasze mamy kończyły wigilijne potrawy. Wszystkie prezenty były zapakowane. Mikołaj siedział w swoim bujanym fotelu i sprawdzał, czy dla wszystkich dzieci są zabawki, i czy na pewno nikogo nie pominął. Ja i inne małe elfy siedzieliśmy dookoła niego, podawaliśmy mu listy. Bardzo lubimy mu pomagać. Jest dla nas zawsze dobry i oprócz tego, że bardzo kocha wszystkie dzieci, to kocha także nas. Zawsze jest uśmiechnięty i wesoły, a czas spędzony z nim, to wieczna radość i zabawa. Nic dziwnego, że dzieci na Ziemi tak bardzo się cieszą, gdy do nich przyjeżdża. Chciałbym pojechać kiedyś z Mikołajem na Ziemię i zobaczyć jak żyją ludzie w tym dalekim świecie, i jak spędzają Święta.

- Moje kochane elfy, czy wy wiecie jaki mamy dzisiaj dzień? – zapytał nas Mikołaj.

- Wigilia – odpowiedzieliśmy wszyscy razem.

- No właśnie. Najpiękniejszy i najcudowniejszy wieczór w roku. Mam dzisiaj bardzo wiele pracy. Muszę rozdać te wszystkie prezenty, nie mogę pominąć żadnego dziecka. Chcę wam bardzo podziękować, że tak dzielnie i wytrwale pomagaliście mi w pracy. A teraz muszę założyć mój czerwony strój i wyruszyć. A wy wracajcie do domów i czekajcie na mnie. Razem z waszymi rodzinami zjedzcie pyszną, wigilijną kolację, pośpiewajcie kolędy, a jak wrócę, to wszystko wam opowiem.

Mikołaj pożegnał się z nami i poszedł do swojej sypialni. My wstaliśmy i udaliśmy się do naszych domów. Moja siostra pobiegła już wcześniej pomóc mamie w gotowaniu barszczu, więc wracałem sam. Ale wokół było tak pięknie, że samotność mi w ogóle nie dokuczała. Ponieważ nie było jeszcze zbyt późno, postanowiłem pójść na wzgórze za naszą wioską, żeby stamtąd pomachać Świętemu Mikołajowi, gdy będzie odlatywał w swych ogromnych, pięknych saniach. Usiadłem na ławce. Popatrzyłem w niebo, na którym za niedługo miała pojawić się pierwsza gwiazda. Potem spojrzałem na bałwana, który stał obok mnie. Parę dni temu ulepiliśmy go razem z innymi elfami. Siedziałem i cierpliwie czekałem, aż na niebie pojawi się Święty Mikołaj w swoich saniach, ciągniętych przez renifery. Miał przed sobą kolejną, niesamowitą podróż. Zawsze bardzo chciałem też polecieć do tych wszystkich dzieci

i rozdać im prezenty pod choinką, ale niestety byłem tylko elfem, więc mogłem jedynie pomagać Mikołajowi i słuchać jego opowiadań, wyobrażając sobie, jak wyglądają święta u ludzi. Nagle usłyszałem dziwny dźwięk. Jakby ktoś cichutko płakał. Wstałem i podszedłem w stronę lasu. Zastawiałem się kto to może być. Może jakiś mały elf się zgubił – pomyślałem. Podszedłem bliżej. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyłem, że za wielką sosną siedzi nasz kochany Mikołaj i cichutko płacze.

- Co się stało? – zapytałem go zaskoczony. Przecież za niedługo miał wyruszyć z prezentami, a jak nie wyjedzie na czas to nie zdąży rozdać wszystkim dzieciom prezentów.

- Stała się straszna rzecz – odpowiedział Mikołaj. – Gdy sanie wystartowały, wypadł mi jeden prezent. Chciałem go poszukać, więc kazałem reniferom wylądować. Zatrzymały się przy lesie, a ja wysiadłem i zacząłem szukać prezentu. Już martwiłem się, że go nie znajdę, ale na szczęście zobaczyłem go na drzewie. Nie mogłem dosięgnąć paczki, więc zacząłem się wspinać po gałęziach. Złapałem prezent i już miałem schodzić z powrotem, gdy nagle... pośliznąłem się i spadłem na ziemię. Zraniłem się w nogę, bo nie mogę wstać ani chodzić. To straszne! Jest wigilia, a ja nie mogę pojechać do dzieci. Wszystkie były cały rok bardzo grzeczne, pomagały rodzicom, pilnie się uczyły i zasłużyły na nagrodę.

- Ojej Mikołaju to okropne. Co się teraz stanie? – zapytałem przerażony.

- Pierwszy raz w życiu nie będę mógł pojechać na ziemię i dzieci nie dostaną prezentów. W tym roku nie będzie prawdziwych świąt.

Zrobiło mi się strasznie smutno. Pomyślałem o tych wszystkich maluchach, które grzecznie sprzątają i pomagają, niecierpliwie wyczekując na Mikołaja. Wyobraziłem sobie, jakie muszą być szczęśliwe i jak bardzo się rozczarują, kiedy podejda do pięknie wystrojonej choinki i nie znajdą tam ani jednego prezentu. Młodsze dzieci na pewno zaczną płakać, a starszym zrobi się przykro. Pewnie wielu z nich przestanie wierzyć w Świętego Mikołaja, albo pomyśli, że on już ich nie kocha, co oczywiście nie będzie prawdą. Ale teraz nie miałem czasu, żeby o tym myśleć. Musiałem opatrzeć nogę Mikołaja.

- Czy w saniach jest jakaś apteczka? – zapytałem.

- Tak. Pod siedzeniem są bandaże i lekarstwa – odpowiedział bardzo smutnym głosem. – Możesz mi je przynieść Karolku? Bardzo ci dziękuję za pomoc.

Szybko wybiegłem z lasu. Od razu zauważyłem sanie pełne prezentów, których nikt nie dostanie. Oczy napełniły mi się łzami i zrobiło mi się jeszcze bardziej smutno. Renifery czekały cierpliwie. Otworzyłem skrytkę pod siedzeniem i wyjąłem czerwoną apteczkę z lekarstwami. Następnie pośpiesznie wróciłem do lasu, gdzie czekał na mnie Mikołaj. Jak byłem młodszy tata nauczył mnie, jak należy opatrywać rany. Wyjąłem bandaż, plastry i wodę utlenioną. Przemyłem ranę, a następnie dobrze ją opatrzyłem i zawiązałem.

- Jestem pod wielkim wrażeniem Karolku – powiedział Mikołaj przyglądając się mojej pracy. – Jesteś jeszcze taki mały, a już tak porządnie potrafisz udzielić pierwszej pomocy. Chyba kiedyś zostaniesz lekarzem z naszej wiosce.

Uśmiechnąłem się. Jednak smutek w moim sercu wcale się nie zmniejszył.

- Pomogę ci wstać – zaproponowałem i złapałem go za rękę. Musiałem użyć wszystkich sił, ale udało się. Mikołaj stał teraz na jednej nodze i podpierał się na moim ramieniu, żeby nie upaść. Powoli, razem dotarliśmy do sań. Pomogłem mu usiąść i zapakowałem z powrotem apteczkę oraz znaleziony na drzewie prezent.

- Bardzo cię boli noga? – zapytałem.

- Teraz, jak siedzę to nie. Jednak bez twojej pomocy nie potrafię chodzić.

Spojrzałem na renifery. Również bardzo posmutniały, widząc, co się stało.

- Mam świetny pomysł – wykrzyknął nagle Mikołaj. – Karolku, w tobie cała nadzieja. Tylko ty możesz uratować Gwiazdkę.

- Ja? – zapytałem zdziwiony. – Co miałbym zrobić? Bardzo chciałbym pomóc, ale nie rozumiem, jak ja, taki mały elf mogę uratować święta.

- Posłuchaj mnie uważnie. Skaleczyłem nogę i nie potrafię chodzić, dlatego nie będę mógł wyjść z sań, wejść przez komin do domu i położyć prezenty pod choinką. Ale mam sprawne ręce, więc mogę prowadzić sanie, a ty możesz jechać ze mną i rozdać dzieciom prezenty.

- To wspaniały pomysł, ale ja nie wiem, czy dam radę. Może pobiegnę do naszej wioski i przyprowadzę innego elfa.

- Jest to ciężka praca, ale jesteś silnym elfem, więc na pewno sobie poradzisz. Jest już późno i nie ma czasu szukać nikogo innego. Poza tym jesteś pracowity, pomocny i masz bardzo dobre serce, więc myślę, że jesteś idealnym elfem do tego zadania. Po drodze wytłumaczę ci, który prezent jest dla jakiego dziecka i jak się wchodzi i wychodzi przez komin. To jak, zgadzasz się?

- Oczywiście. W takim razie wyruszajmy.

Renifery rozpędziły się i wzleciały w niebo. Byłem bardzo podekscytowany i nie wierzyłem, że to dzieje się naprawdę. Jednocześnie bałem się, że zrobię coś źle, pomylę prezenty, albo nie będę mógł wejść przez komin. Czekala mnie cudowna i niesamowita podróż, ale jednocześnie bardzo trudna. Mikołaj po drodze napisał list do moich rodziców, żeby się o mnie nie martwili i gdy lecieliśmy nad naszym domem rzucił go im do okna. Potem zaczął pokazywać mi kolorowe paczki i tłumaczyć, która jest dla kogo. Pod nami nie było już widać naszej wioski tylko chmury. Byliśmy naprawdę

wysoko. Czekałem niecierpliwie aż zaczną pojawiać się pierwsze domy. Była już noc, dzieci spały. Chmury robiły się coraz rzadsze i po jakimś czasie zaczęły wylądować się miasta i wsie. Renifery pędziły bardzo szybko. Teraz zmieniły kierunek i zaczęły biegnąć w dół. Słyszałem uroczy dźwięk dzwoneczków i myślałem o tym, że wszystkie dzieci śnią teraz o prezentach, które niedługo dostaną. Nie mogłem ich zawieść, więc musiałem się bardzo postarać, żeby wszystko zrobić dobrze. Podjechaliśmy pod pierwszy, niewielki dom na skraju lasu.

- Dobrze Karolku, teraz czeka cię poważne zadanie – odparł Mikołaj. – W tym domu mieszka troje małych dzieci. Wojtek, Tomek i Zosia grzecznie śpią. Musisz bardzo cicho wejść przez komin i zostawić tam te trzy prezenty – tłumaczył mi moje zadanie, podając kolorowe paczki. – Nie możesz nikogo obudzić i robić wszystko tak jak ci tłumaczyłem wcześniej. Będę tu na ciebie czekać.

Zabrałem prezenty i podszedłem do komina. Bardzo się stresowałem, ale musiałem się skupić i pośpieszyć. Nie mieliśmy za wiele czasu. Wskoczyłem ostrożnie do komina mocno ściskając prezenty. Wylądowałem w niewielkim pokoju. Na środku stała prawdziwa choinka przyozdobiona bombkami i łańcuchami, robionymi przez dzieci. Świeciły na niej kolorowe lampki. Położyłem pod nią trzy zapakowane i podpisane prezenty. Bardzo chciałem zostać tam dłużej i poczekać na dzieci. Mógłbym zobaczyć jak się cieszą i razem z nimi pobawić, ale wiedziałem, że nie ma czasu. Przede mną czeka jeszcze miliony innych dzieci. Wróciłem do

komina. Spojrzałem jeszcze na zdjęcie, na którym uśmiechało się troje uroczych maluchów. Wyglądali trochę inaczej niż my, ale byliśmy podobni. Powiedziałem magiczne słowa, których nauczył mnie Mikołaj:

„Choinki, prezenty, kolędy, święta,

Mikołaj o wszystkich dzieciach pamięta.”

I już znalazłem się obok sań. Wszystko się udało i byłem ogromnie szczęśliwy. Poleciliśmy do następnego domu. Tu nie było komina, więc musiałem wchodzić przez okno. W środku również stała przepiękna choinka. Zostawiłem dwa prezenty dla Ani i Franka.

W następnym domu mieszkało aż sześcioro dzieci. Naprawdę się zmęczyłem, żeby zanieść wszystkie prezenty. Potem mijaliśmy wysokie bloki. Tutaj musiałem przeskakiwać z okna do okna, żeby w każdym mieszkaniu zostawić prezent. W niektórych domach stały ogromne, bogate choinki, a w innych bardzo małe i skromne, jednak były tak pięknie przyozdobione dziecięcymi pracami z papieru, że wyglądały naprawdę uroczo. Odwiedziliśmy też domy dziecka. Tam maluchy czekały na nas najbardziej. Mikołaj zawsze nam powtarza, że największą opieką otacza dzieci bez rodziców i te, które mieszkają w biedniejszych rodzinach. Dlatego zawsze posyła do nich specjalnych opiekunów, którzy mają najlepsze serca na świecie i dzielnie pomagają im w biedzie i problemach.

Ciężko pracowałem całą noc. Sanie robiły się coraz lżejsze, a ja czułem, że coraz bardziej opadam z sił, jednak rozdawanie prezentów sprawia tyle radości, że nie zwracałem uwagi na moje zmęczenie.

- Jesteś wspaniałym pomocnikiem Karolku – powiedział do mnie Mikołaj. – Zostało nam jeszcze parę domów i wracamy do Świętolandii. Jestem ci naprawdę ogromnie wdzięczny. Nie wiem, co by się stało, gdybyś mnie nie znalazł w lesie i ze mną nie pojechał.

- To dla mnie największa radość, że mogę ci pomóc – odpowiedziałem. – Zawsze marzyłem, żeby z tobą polecieć. To są moje najpiękniejsze święta.

- Ho, ho, ho... - zaśmiał się Mikołaj i dodał – uratowałeś w tym roku Gwiazdkę. Jestem z ciebie naprawdę dumny. A teraz zanieś jeszcze te prezenty i wracamy do naszych elfów.

Zabrałem ostatnie cztery paczki. Wskoczyłem do domu i podszedłem do ozdobionego drzewa. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu dostrzegłem, że pod choinką, na poduszce leży mały chłopiec. Słodko spał. Zastanawiałem się, co on tu robi i dlaczego nie śpi w łóżku. Nie chciałem go jednak obudzić, więc po cichu położyłem prezenty. Maluch poruszył się i otworzył oczy. Spojrzał na mnie. Nie wiedziałem co robić. Czy mam szybko uciekać, czy stać i nie ruszać się. Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, co mam mu powiedzieć i jak zareagować.

- Czy ty jesteś Świętym Mikołajem? – zapytał zaspanym głosem chłopiec.

- Ja?... Ja nie jestem, to znaczy jestem jego pomocnikiem – odpowiedziałem zmieszany. – Jestem elfem, a Mikołaj pilnuje sań i prezentów – dodałem.

- A dlaczego tu nie przyszedł? – dopytywał się maluch. – Czekam na niego.

- Ponieważ miał wypadek i nie może chodzić.

- A ty jak się nazywasz?

- Jestem Karolek, a ty?

- A ja Jasio. Fajnie, że do mnie przyszedłeś. Zawsze chciałem zobaczyć prawdziwego elfa. To niesamowite. Moje siostry na pewno mi nie uwierzą.

- Ja też marzyłem o tym, żeby zobaczyć prawdziwego chłopca. Ile masz lat?

- Sześć, a ty?

- Osiem. Masz ładną piżamę.

- Dzięki. A ty masz cudowną czapkę i śmieszne uszy – zaśmiał się. – Pobawisz się ze mną? Za chwilę będzie ranek, więc możesz zostać u nas na śniadaniu.

- Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Muszę wracać do moich rodziców. Martwili by się o mnie.

Jasio posmutniał. Żałowałem, ale naprawdę nie mogłem zostać. Musiałem szybko coś wymyślić na pocieszenie, dlatego zaproponowałem:

- Chcesz zobaczyć Mikołaja?

- No pewnie – odparł rozradowany.

- To podejdź ze mną do okna – powiedziałem. Chłopiec złapał mnie za rękę i wstał, a następnie mocno pociągnął mnie w tamtą stronę. – Spójrz tam koło płotu – dodałem. -Widzisz? Stoją renifery, sanie, a w nich Mikołaj. Chłopiec otworzył szeroko usta. Był zaskoczony i ogromnie szczęśliwy. Zaczął mu energicznie machać swoją małą rączką.

- Ale cudownie! – krzyknął radośnie. – Kocham cię Mikołaju – zawołał. A potem zwrócił się do mnie:

- Pozdrów go ode mnie. I wszystkie elfy też.

- Dobrze – odpowiedziałem. – Jak wrócę do mojej wioski, Świętolandii, napiszę ci list, chcesz?

- Super – ucieszył się mój nowy przyjaciel.

- Jeśli będziesz miał ochotę to możesz też napisać do mnie. Jak będzie wiał wiatr to wyrzuć go przez okno. Mikołaj na pewno się postara, żeby do mnie dotarł.

- Będziemy się przyjaźnić?

- Oczywiście. A teraz muszę już lecieć. – Zdjąłem moją czerwoną czapkę i dałem Jasiowi. – Proszę to dla ciebie prezent ode mnie.

- Dziękuję – odparł rozradowany. Sięgnął do kieszeni i wyjął mały, żółty samochodzik. – A to dla ciebie.

Bardzo się ucieszyłem. Całą noc to ja rozdawałem paczki dla dzieci, a teraz sam dostałem prezent. Samochodzik był już stary i zniszczony, ale był najpiękniejszym prezentem, jaki mogłem dostać. Pamiątka mojego przyjaciela. Pożegnaliśmy się i wróciłem do sań.

W drodze powrotnej opowiedziałem Mikołajowi moją przygodę z Jasiem. Pokazałem mu prezent jaki dostałem. A potem byłem taki zmęczony, że zasnąłem w saniach. Nie wiem nawet kiedy znaleźliśmy się z powrotem w Świętolandii. Tam czekała na nas już cała moja rodzina i wszystkie elfy. Powitali nas wielkimi brawami i okrzykami radości. Wjechaliśmy na główny plac w naszej wiosce. Mój tata z innymi elfami pomogli Mikołajowi zejść z sań. Czekał tam na niego lekarz. Sprawdził ranę i powiedział, że na szczęście to nic poważnego i powinno się szybko zagoić. Pochwalił też mnie za prawidłowy opatrunek, dzięki któremu Mikołaj nie czuł bólu. Elfy, które pracują w stajni zajęły się reniferami. Trzeba je było nakarmić i umyć. A pozostali zabrali nas do wielkiej jadalni, gdzie zawsze jemy wspólny posiłek po długiej, świątecznej podróży. Czując zapachy pysznych dań zaburczało mi w brzuchu. Zdałem sobie sprawę, że jestem bardzo głodny. Jedzenie było pyszne. Wszyscy śmiali się i rozmawiali. Gdy Mikołaj skończył jeść zaczął opowiadać elfom, co wydarzyło się

tej nocy. Opowiedział o swoim wypadku i o mojej pomocy. Byłem naprawdę dumny. Gdy skończył znowu wszyscy zaczęli bić brawo. Potem wszystkie rodziny udały się do swoich domów, żeby Mikołaj mógł się wyspać i wypocząć. Jednak zanim udał się do swojej sypialni powiedział do mnie:

- Karolku jesteś bohaterem tych świąt. Dzięki tobie dzieci dostały prezenty i są teraz szczęśliwe. Bardzo ci dziękuję. A ponieważ spisałeś się na medal, chciałbym ci zaproponować, żebyś został moim pomocnikiem. Co roku jeździlibyśmy razem do dzieci. Pomagałbyś mi w rozdawaniu prezentów. Co ty na to?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Czy Mikołaj mówił poważnie? Przecież to najwspanialsza rzecz jaka mogła mi się przydarzyć.

- Oczywiście! – krzyknąłem radośnie. – To dla mnie zaszczyt. Jestem najszcześniejszym elfem na świecie!

- Ho, ho, ho.. – zaśmiał się Mikołaj. – To dla mnie będzie zaszczyt mieć takiego towarzysza. Bardzo się cieszę, że się zgadzasz. A teraz leć do domu. Musisz się porządnie wyspać, bo na pewno jesteś okropnie zmęczony.

Pożegnałem się i pobiegłem. To były moje najwspanialsze święta. Jednak ciągle nie mogłem uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Zanim jednak położyłem się do łóżka, napisałem jeszcze list do mojego nowego przyjaciela – Jasia. Przekazałem mu, że dotarliśmy szczęśliwie do Świątolandii, Mikołaj

czuję się lepiej, a ja za rok znowu będę mógł go odwiedzić. Myślę, że na pewno się ucieszy i znowu będzie czekać pod choinką, nie tylko na Mikołaja, ale również na mnie. Potem położyłem się do swojego łóżka. Tata powiedział mi, że jest ze mnie bardzo dumny. Wszyscy byli bardzo ciekawi, czy sobie poradzę, ale wierzyli, że nie zawiodę i nie zapomnę o żadnym dziecku. Potem poprawił mi poduszkę i wyszedł. Mama ucałowała mnie na dobranoc i zgasiła światło w sypialni. Wziąłem do ręki mój nowy samochodzik. „Dobranoc Jasiu – pomyślałem. – Dziękuję, że cię spotkałem i że zostaliśmy przyjaciółmi”. Potem szeroko ziewnąłem i razem z nowym prezentem w ręce zasnąłem.

Tak wyglądała moja najwspanialsza, świąteczna przygoda. Nigdy jej nie zapomnę. Cieszę się, że wszystkie dzieci dostały prezenty. A za rok czeka mnie kolejna podróż, na którą już nie mogę się doczekać.



## *Miś Gungin i Boże Narodzenie*

*Sara Tukan*

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Wszyscy mieszkańcy lasu rozmawiali tylko o tym wydarzeniu. Z różnych stron dobiegały do Gungina zupełnie nieznane mu słowa: Święty Mikołaj, choinka, kolędy, prezenty.

To ostatnie słowo miś rozumiał bardzo dobrze, ale nie wiedział, jaki związek mają prezenty ze świętami.

– Powiedz mi, Kolcuszku, o czym oni mówią?

– Boże Narodzenie to najpiękniejsze święta: śpiewamy kolędy o narodzeniu Pana Jezusa, a gdy zabłyśnie pierwsza gwiazdka przybywa Święty Mikołaj i rozdaje prezenty.

– Ja też dostanę prezent?

– Dostaniesz! – zapewnił jeź.

– Dlaczego? – Gungin nadal tego nie rozumiał.

– Nie wiem, ale każdy coś dostaje. Ja już dawno poprosiłem w myślach Mikołaja, żeby mi przyniósł świeże jabłka. Co roku o to proszę, bo zimą najbardziej brakuje mi świeżych jabłek, chociaż wcale ich nie zjadam.

- Przecież ja jeszcze o nic nie poprosiłem! – przestraszył się Gungin.

- To teraz poproś. Powiedz w myślach tak: „Byłem bardzo grzeczny. Przynieś mi, Święty Mikołaju, coś”. Nie wiem, co chciałbyś dostać?

- Muszę mówić, że byłem grzeczny? Bo nie mam pewności, czy to prawda...

- Lepiej powiedzieć.

- No, dobrze. Jeśli byłem dla kogoś niegrzeczny, to tylko niechący, a poza tym zawsze przeprosiłem. Co ja bym chciał dostać?

- Właśnie nie wiem – odparł Kolcuszek. – Dobrze się zastanów, zanim wypowiesz swoje życzenie, bo Mikołaj przynosi każdemu mieszkańcowi lasu tylko jeden prezent.

Gungin długo krążył wokół czterech ogromnych świerków otaczających jego polankę i mamrotał:

- Byłem grzeczny, byłem grzeczny, byłem całkiem grzeczny... - ale w sprawie prezentu nic nie przychodziło mu do głowy.

- Dlaczego, dlaczego nie mogę niczego wymyślić? – zdenerwowany miś tupał nóżkami.

Nagle zatrzymał się i zawołał:

- Już wiem! Chciałbym dostać choinkę! Wszyscy w lesie o niej opowiadają, a ja chciałbym ją mieć. Święty Mikołaju, słyszysz mnie? Wcale mi nie odpowiada... - zmartwił się miś.

- On nigdy nie odpowiada, ale zapamiętuje każdą prośbę.

W dzień wigilijny spadło trochę śniegu, strojąc las białym puchem. Jednak mało kto zachwycał się tym widokiem. Wszyscy wyczekiwali pierwszej gwiazdki, która sprowadzi do nich Świętego Mikołaja. Wiewiórka siedziała na najwyższym drzewie i obserwowała niebo.

Zapadał zmierzch, gdy w oddali rozległ się czarodziejski dźwięk dzwoneczków.

- Jest! Jest pierwsza gwiazda! - zawołała wiewiórka i szybko zeskoczyła na najniższą gałązkę.

Wtem, nad ośnieżonymi czubkami drzew coś zamigotało, zaszumiało i w powietrzu, nad głowami mieszkańców lasu, zatrzymały się srebrne sanie z najprawdziwszym Świętym Mikołajem.

Gungin wpatrywał się to w Mikołaja, to w sanie, to znów w renifery zaprzężone do sań. Takich dziwów w całym swoim życiu nie oglądał. Tymczasem święty podniósł wypchany podarkami wór, z kieszeni wyciągnął złotą różdżkę i rzekł donośnym głosem:

- Dbaliście o ten prastary las jak należy i pomagaliście sobie wzajemnie. Wszyscy zasługujecie na podarunki.

Powiedziawszy to, uderzył różdżką w worek. Wnet z worka wysypały się skrzące srebrem i złotem maleńkie gwiazdeczki, a po chwili każda z nich zamieniała się w wymarzony prezent.

– Mam świeżutkie, czerwone jabłuszka! Dziękuję ci, Mikołaju! – szczęśliwy Kolcuszek biegał dookoła stosiku owoców.

– Dostałam cały woreczek orzechów! Dziękuję, Mikołaju! – cieszyła się wiewiórka.

– My dostałyśmy ziarna słonecznika zatopione w słońce – pochwały się małe sikorki. – Mikołaju, dziękujemy!

Wszyscy oglądali swoje prezenty, śmiali się i wesoło gawędzili, tylko Gungin rozglądał się ze smutkiem dokoła.

– Kolcuszku, dlaczego ja nie dostałem prezentu? Mikołaj powiedział, że wszyscy na nie zasłużyli... – W oczach misia pojawiły się pierwsze łzy.

– Jak to, nie dostałeś? – zdziwił się jego przyjaciel. – Przecież chciałeś dostać choinkę. Popatrz: masz aż cztery choinki – jeż wskazał łapką cztery misiowe świerki ślicznie ozdobione kolorowymi bombkami, łańcuchami oraz anielskim włosem.

– To tak wyglądają choinki? – zdziwił się Gungin. Przetarł oczy, żeby lepiej im się przyjrzeć. – Jakie piękne choinki! Mam najładniejszy prezent!

Miś biegał od jednego zwierzątka do drugiego, wołając coraz głośniej:

– Mój prezent jest najlepszy! Nikt nie dostał takiego dobrego prezentu!

I gdyby nie upomniała go mądra sowa, biegałby tak pewnie całą wigilijną noc.

- Twoje przechwałki, Gunginie, są bardzo nieładne – powiedziała.

A wtedy Kolcuszek podał misiowi jabłko.

– Proszę, poczęstuj się!

– Weź ode mnie orzeszka! – wiewiórka podsunęła woreczek z orzechami.

– Damy ci trochę słoninki – powiedziały cichutko sikorki.

– Dziękuję! Jakie to pyszne... Mniam, mniam... – mamrotał coraz bardziej zawstydzony Gungin. – Zapraszam wszystkich na moją polankę; możecie przyglądać się choinkom ile tylko chcecie!

Nazajutrz, w dniu Bożego Narodzenia, gdy cały las nucił kolędy, Gungin z Kolcuszkiem podziwiali cztery mieniące się wieloma kolorami choinki. W pewnej chwili miś o czymś sobie przypomniał.

- Kolcuszku! Skąd święty Mikołaj miał te wszystkie prezenty?

- Nie wiem! Mam za małą główkę, żeby to wiedzieć - zmartwił się przyjaciel. - Zapytajmy dzieci, one lepiej znają świętego Mikołaja, niż ja.

*Dla Starszych*



## *Czwarty dzień grudnia*

*Aleksander Sowa*

Spoglądam w kalendarz. Sumienie mnie łąje. Powiniennem usiąść do klawiatury i pisać. Dziś przecież jest 4 grudnia, niedziela, we wtorek będzie Mikołaj i zaraz święta. Poza tym dziś mam cholerne „deadline”. Mam napisać opowiadanie na konkurs. Nigdy nie lubiłem opowiadań, a tym bardziej konkursów. Do tego temat ma być świąteczny. Znaczy się co – myślę? O karpicach, choince albo kolejny raz wyświetlonym, starym jak Arka Noego filmie „Kevin sam w domu” w polsatowskim szambie, między reklamami podpasek i zapewnieniem co jest najlepsze dla mężczyzny?

Sam wiem, co dla mnie jest najlepsze. Nikt nie musi mi tego mówić. Dziś – Święty Mikołaju chciałabym dostać natchnienie – drwię z samego siebie siadając w ulubionym fotelu, zamiast przy biurku. I nie znoszę grudnia i świat.

Cholerna niemoc twórcza, lenistwo znaczy się – myślę spoglądając na czerwoną datę. Czasem pewnie każdy pisarz tak ma jak ja teraz. Pisać. Jak to prosto, słodko i pozytywnie brzmi? Pięcioliterowy czasownik, tylko dwie sylaby. Cholerne narzędzie tortur. Przekłete uczucie. Dziś nie dam rady – usprawiedliwiam samego siebie. Wolę się napić. Konkretnie soku z wódką. I to wyłącznie polską. Jest za czyje zdrowie wypić i przy tym okazać na bycie patriotą. Sącząc drinka przymykam powieki. Połączyłem słodki smak lat młodości z gorzkim smakiem wspomnień.

Sen przychodzi podstępem. Przynosi bezczelnie realną projekcję. Znów mam dwadzieścia lat, jeszcze nie palę dwudziestu papierosów dziennie. Siedzę w tym samym fotelu i wiem, że zapomnieć do duże słowo, ale ja właśnie o nie proszę ...

- Tatusiu, na co patrzysz? – słyszę głos córki.

- Na zawody. Mistrzostwa Świata w lekkiej atletyce.

Jej spojrzenie wędruje na ekran telewizora. Marszczy brwi i uważnie patrzy. Chwilę skupia się na sylwetkach sportowców i odpowiada po chwili:

- Ja nie lubię atletyki.

- Lekkiej atletyki.

- No właśnie. Zresztą nieważne, nie lubię i już.

- Dlaczego?

- Jest głupia. Sport też. Kiedy biegamy, zawsze przegrywam – opowiada wskazując postaci sportowców.

- Na pewno zawsze?

Dziecko zastawia się chwilę. Widzę, w jej rysach cząstkę siebie jak w zdjęciu z dzieciennych lat. We włosach dostrzegam chłopaka jakim byłem i w zbyt obszernych ruchach dziecka nieporadność z pierwszych

lat podstawówki. Tymczasem Magda przechyla główkę z zainteresowaniem i rezerwowo odpowiada:

– Masz racje. Czasem udaje się wygrać. Ale wtedy to też jest głupie.

– Dlaczego?

– Dlaczego i dlaczego! Przecież to jasne jak słońce – odpowiada wzruszając ramionkami. – Kiedy przegrywam, nie dość, że jestem zmęczona to jest mi smutno. Biegłam, a ktoś był lepszy. A to nie jest miłe.

– Ale przecież czasem wygrywasz.

– Wtedy jest jeszcze gorzej – mówi poważnie kiwając głową. – Tylko przez chwilę jest fajnie. Wygrałam, myślę a potem okazuje się, że inni przegrali i zaraz robi mi się przykro – wyjaśnia.

– Przykro? Przecież wygrałaś. Powinnaś cieszyć się ze zwycięstwa.

– Nic nie rozumiesz tatusiu. Ktoś inny przegrał przez mnie.

Ktoś musi przegrać, aby mógł wygrać ktoś – myślę. Spojrzenie wędruje w zamyśleniu na ekran. Z obrazem zawodnika w blokach startowych wracają wspomnienia. Widzę siebie młodszego o kilkanaście lat. O żonę, córkę, hipotekę i kilka powieści.

– Wiesz, że też kiedyś biegłem jak oni?

– Naprawdę? – oczy Magdy robią się wielkie jak pięćzłotówki. – Opowiedz o tym, proszę – mała dopada mnie niczym pijawka. – Proszę, proszę – mówi siadając mi na kolanach.

– To było dawno – zaczynam.

– Zanim zostałeś pisarzem?

– O tak! O wiele wcześniej – mówię z uśmiechem.  
– Chodziłem do drugiej, albo trzeciej klasy technikum.

– To ile miałeś lat? – pyta rzeczowo.

– Szesnaście albo siedemnaście.

Spogląda na mnie podejrzliwie. Przechyla główkę i liczy w głowie ruszając ustami, bez słów, wpatrzona w sufit. Nagle przewraca oczami i mówi:

– Coś ci się pomyliło. Powinieneś być wtedy jeszcze w gimnazjum.

– Wtedy nie było jeszcze gimnazjów. Były szkoły zawodowe, licea albo technika – wyjaśniam. – Tatuś chodził do technikum właśnie. A w nim był klub sportowy „Sprinter” w którym trenowaliśmy.

– Tę atletykę?

– Tak. Najbardziej biegi. Akurat biegałem na krótkich dystansach.

- I występowałeś w zawodach?

- Potem już tak.

- Takich jak te? - mówi wskazując ekran. - Byłeś w telewizorze?

- Czasem byłem. Ale w takich nie uczestniczyłem nigdy.

- A dlaczego?

Uśmiecham się i przez chwilę myślę jak wytłumaczyć dziecku, coś co przecież jest oczywiste. A jednocześnie tak trudne.

- To właśnie o to chodzi kochanie. Trzeba wygrywać, chociaż nie to jest najważniejsze. Najpierw trzeba być dobrym w biegach takich jak ty teraz biegasz, potem w zawodach na całą szkołę. I trzeba bardzo dużo trenować. I jak się tak dużo trenuje, to występuje się na zawodach, gdzie jest już kilka szkół, a potem najlepsi na całą Polskę. I dopiero potem takie olbrzymie zawody, jak te moje w telewizorze.

- Acha. Ale to strasznie dużo ludziom musi być przykro, że przegrali?

- Inaczej się nie da. Tak samo jak nie można zawsze wygrywać.

- No ja też czasem przegrywam, a czasem wygrywam.

- Właśnie. I wygrana jest nagrodą za pracę. Za treningi i wysiłek.

- No, ale inni też trenują, a przegrywają.

- To prawda.

- A dużo trzeba trenować?

- Bardzo dużo. A żeby wygrywać jeszcze więcej.

- No to bym trenowała tak, najbardziej, najwięcej. Wtedy to bym na pewno wygrała.

- Niestety tak się nie da.

- To w takim razie to jest niesprawiedliwe.

Tak to niesprawiedliwe – myślę. Córka ma rację. Ale sprawiedliwość jest czymś, czego nie ma. To przecież pojęcie teoretyczne, nie istniejące jak coś, co jest idealne. Niesprawiedliwość jest za to bardzo realna.

- Opowiem ci dalej, chcesz?

- Opowiadaj! – krzyczy klaszcząc. – Uwielbiam twoje opowieści.

- Trenowałem kilka lat, raz wygrywałem, a raz przegrywałem. Było mi przykro, kiedy przegrałem i cieszyłem się z medali. Czasem byłem zły na siebie, czasem zadowolony. Bywało tak, że miałem stałych rywali. To zwycięstwo nad nimi cieszyło najbardziej. Aż

na pewnego dnia na wakacjach, do naszej szkoły przyjechali na trening zawodnicy z Litwy i Słowacji. Nasz trener postanowił to wykorzystać i zorganizowaliśmy zawody.

- Międzynarodowe?

- Właśnie. Wystartowałem w biegu na czterysta metrów, dwieście i sto.

- To na krótkich dystansach, tak?

- Tak. Wygrałem bieg na czterysta i dwieście. Był tam też pewien Słowak. Miał na imię Dávid.

Przypominam sobie jego nazwisko, córce o tym jednak nie mówię. Pamiętam drania dokładnie. Miał lepsze warunki fizyczne niż ja. Wyższy, na dłuższych nogach, a na nich umięśniony korpus. Ani grama tłuszczu na brzuchu, tacy przecież wtedy byliśmy wszyscy - myślę nie chcąc przypomnieć sobie o tym, co mam powyżej paska u spodni.

- A na sto metrów Dávid wygrał?

- Masz rację - przyznaję. - Jednak wtedy to się nie liczyło.

- A co?

- Najpierw był bieg na czterysta metrów. Wylosowałem tor trzeci, a Dávid czwarty. Wystartowaliśmy i na pierwszym łuku wdziałem go

przed sobą. Próbowałem dogonić ale ledwie się tylko zbliżyłem. Na pierwszej prostej biegliśmy niemal przez sto metrów krok w krok. Ani ja nie potrafiłem dogonić Dávida, a on nie umiał uciec na metr. Dzisiaj uważam, że to był najlepszy bieg w życiu. Zresztą, również najważniejsze zawody.

– Przecież mówiłeś, że raz przegrałeś?

– Tak mówiłem. To prawda. Ale chodziło o coś zupełnie innego.

– To opowiadaj.

– Na drugim wirażu zrównaliśmy się i została tylko prosta. Okazało się, że pozostali czterej zawodnicy zostali daleko. Biegliśmy ramię w ramię i pamiętam myśl, że jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto potrafił tak walczyć jak on. Nie odpuścił do ostatniego metra. Owszem, wygrałem ten bieg, ale nie więcej jak o setną sekundy. I poczułem coś bardzo ważnego.

– Co takiego?

– Nie było mi przykro, że wygrałem, i że Dávid przegrał. Byłem dumny z siebie. I z niego. Był najtrudniejszym rywalem jakiego spotkałem. Po biegu poszedł do mnie, uścisnął rękę i odparł: „Jesteś naprawdę mocny, brachu – aż zabolowały mnie palce, tyle miał siły w dłoniach. – Następy raz jednak ci się nie uda – dodał z uśmiechem.”

– I rozumiałeś?

- Znałem dość dobrze czeski. Dávid rzecz jasna również. Tak się porozumiewaliśmy.

- Acha.

- Na rewanż nie musieliśmy długo czekać. Odpoczęliśmy obserwując kolejne zawody w cieniu pod drzewem. Nauczył mnie kilku następnych słów, których nie rozumiałem, albo nie sposób było nauczyć się ich ze słownika. Zresztą już wcześniej poznałem Dávida, bo mieszkał w internacie. I ja także. A, że interesowałem się czeskim, a Słowacy, choć to zupełnie inny naród, znają czeski, więc szybko się zaprzyjaźniliśmy. Do zawodów jednak nie wiedziałem, że jest drań taki mocny.

Przyszła jednak kolej na sto metrów. Znów wylosowaliśmy tory obok. Zanim weszliśmy do bloków Dávid poklepał po ramieniu.

- Teraz moja kolej - rzucił z uśmiechem. -  
Chociaż wiem, że nie odpuścisz.

- Ani myślę - odparłem zadowolony, że nie podał mi ręki.

- I dobrze!

Po chwili byliśmy obaj w blokach. Widziałem tylko czerwony kolor mączki ceglanej i słyszałem bicie serca, jak uderzenia młotem w oczekiwaniu na sygnał. Po chwili usłyszeliśmy przeciągłe:

- Naaaa miejscaaa! Gotów! I chwilę później wystrzał startera. Kolce butów zaryły się w tor i usłyszałem wrzawę na trybunach. Widzowie po walce w poprzednim biegu wiedzieli, że jesteśmy faworytami. I dlatego byli jeszcze ciekawsi kto wygra.

Po pierwszych krokach wyprostowałem się i uniosłem głowę. Przede mną istniał tylko ograniczony dwiema białymi liniami tor. Jak tunel. Wyłącznie to się dla mnie liczyło.

Bieg na sto metrów dla nas trwał około jedenaście sekund. Nie więcej niż sześćdziesiąt kroków. Nie było czasu na taktykę, myślenie czy podejmowanie decyzji. Liczyło się tylko by zachować rytm i po oderwaniu palców od bieżni dać z siebie wszystko. Tyle tylko, że...

- Dávid wygrał? - córka przerywa z wypiekami na twarzy.

- Obaj trochę spóźniliśmy start zostając w blokach - odpowiadam. - Po pięćdziesięciu metrach jednak wysunęliśmy się na czoło. Bałem się, że rzeczywiście wygra, bo nie odpuszczał i naprawdę był bardzo mocny. Słyszałem jego każdy, ciężki jak sapanie parowozu, oddech, słyszałem każdy krok i zdawałem sobie sprawę, że biegniemy równo. Do ostatniego metra był tuż obok. Kiedy postawiłem stopę na jedną z pierwszych linii przed metą, przechyliłem się w przód. Również i Dávid rzucił się na taśmę.

Dotarł do nas wrzask widowni. Koleżanki i koledzy skakali, machali do nas, ale nikt nie wiedział, kto wygrał. Sędziowie spoglądali na siebie niepewnymi minami i nie potrafili wyłonić zwycięzcy. A Dávid podszedł i znów pogratulował.

– Niech cię diabli przyjacielu, naprawdę jesteś dobry.

– Ty też – odparłem.

– Ale nie wiedzą, kto wygrał – rzucił spojrzenie na skonsternowaną komisję biegowej.

Ucisnął mi rękę. W tej samej chwili sędziowie zdecydowali, więc zapomniałem o bólu ściskanej prawicy.

– Czasy dla obu zawodników zapisujemy identyczne, ale to Dávid zwyciężył.

Chłopak spojrział na mnie. Pogratulowałem zwycięstwa, choć nie byłem pewny, czy werdykt jest słuszny. Zawody były międzyklubowe, nie było fotokomórki, nie sposób było wyłonić zwycięzcy.

– Nieważne. Pewny nie jestem – Dávid wyjął wargi. – Rozstrzygniemy to po swoim. W trzecim biegu. Na dwieście też jesteś zapisany, prawda?

– Ano.

I tak po kilkudziesięciu minutach znów staliśmy na bieżni. Tym razem ja uciekałem wylosowawszy zewnętrzny tor. Starter dał sygnał. Ruszyłem z całych sił. Wiedziałem, że jeśli tylko choćby przez chwilę pobiegnę wolniej, Dávid dogoni mnie na wyjściu z wirażu. Nie będę potrafił już wygrać. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

– Co?

– Na zawody przysłała pani dyrektor ze swoim rudym jamnikiem. Nie wiem jak to możliwe i jak to się stało, ale nagle Fafik znalazł się kilka kroków przed mną.

– Głupi pies! – Madzia rzuca zdenerwowana.

– Co robić? – przeszło mi przez myśl. Czasu jednak nie było. Musiałem zdecydować. Nie mogłem ominąć psa.

– Dlaczego?

– Musiałbym zmienić tor. Zostałbym natychmiast zdyskwalifikowany.

– Z jakiego powodu?

– Prawdopodobnie zabiegłbym drogę, komuś kto był akurat za mną. A tego nie chciałem, bo...

–...za tobą był Dávid?

– Właśnie.

- I co zrobiłeś?

- Było tylko jedno wyjście. Przeskoczyłem nad psem. Skok jednak wybił mnie z rytmu, zachwiałem się i upadłem.

- O jejku, nie!

- Nic się wielkiego nie stało. Ale kiedy podniosłem głowę i spojrzałem przed siebie, zawodnicy pobiegli już dalej. Zostało tylko trochę czerwonego kurzu. Nie było sensu biec dalej. Przegrałem. Zakląłem pod nosem, a Fafik podbiegł na krzywych łapach i polizał po ręce wesoło merdając ogonem.

- Phi! Mówiłam, głupi pies.

- Zły przegoniłem jamnika. W jego miejsce pojawił się mój słowacki kolega.

- Wszystko widziałem – rzucił podając rękę, by pomóc mi wstać.

- Czemu nie biegłeś dalej?

- Nie wiesz? – odparł pytaniem.

Wiedziałem. Zrobiłbym tak samo. Uśmiechał się. Widok jego białych zębów i wesołych oczu spowodował, że złość natychmiast mi przeszła. Lubiłem drania.

- Przecież oni się nie liczą – rzekł o zawodnikach przekraczających metę. – Jeśli wygrałbym z nimi,

wygrana nic by nie znaczyła. To z tobą biegłem, nie z nimi. Nie spotkałem nikogo, kto walczyłby jak ty. Naprawdę zadałeś mi bobu. Zresztą, już dwa razy wygrałeś.

– Jak dwa? – zaprotestowałem natychmiast. – Na setkę byłeś pierwszy.

– Eee tam. Nie to jest ważne. Liczy się jak wygrywasz.

Z obdartym kolanem i brudny od mączki ceglanej na torze numer trzy przyznałem mu rację.

– Co było dalej?

– Podniosłem się. Wszystkie twarze na stadionie zwróciły się ku nam. Sędziowie, zawodnicy i widzowie bardziej interesowali się nami, niż tymi, którzy rozdzielili miejsca pomiędzy siebie.

– Trudno – odparłem. – Nic z tym nie zrobimy.

– Możesz biec dalej?

– Jasne, nic mi nie jest – odparłem zdziwiony.

– No to choć – rzucił. – Mam pomysł.

Ruszyliśmy wolno, truchtając obok po swoich torach. Widzowie z trybun umilkli. Nagle zrobiło się cicho. Po chwili przez stadion przetoczył się szmer dziesiątek szepczących ust.

- Co mówią? - zapytał.

- Zastawiają się co my robimy - przetłumaczyłem.

Zamyślałem się chwilę wracając do tamtej chwili. Nie mogę pokazać dziewczynce wzruszenia, które dopada mnie nawet teraz. Szybko mówię więc dalej:

- Przed metą chwaliliśmy się za rękę unosząc je w górę. Tak przekroczyliśmy metę. Zerwała się burza oklasków.

Magda milczy. Widzę, że zastanawia się nad czymś, drapiąc rajtuzy gdzieś pod kolanem.

- Mówiłeś, że wygrałeś dwa razy?

- Sędziowie stwierdzili, że byłem na mecie w tym biegu szybciej.

- Śmieszne.

- Tak.

- Tatusiu? Spotkałeś potem jeszcze tego Dávida?

Obawiałem się tego właśnie pytanie. Wieczorem przecież popiliśmy polskiego piwa, a tego nie mogę tego powiedzieć kilkuletniej dziewczynce. Nie chcę kłamać, więc się przygotowałem.

- Obiecywaliśmy sobie z Dávidem, że za rok się spotkamy i rozegramy spór, kto jest szybszy raz jeszcze. Tym razem ostatecznie. Ale nie dotrzymał słowa.

- Jak to?

- Trzy dni później wyjechał do domu. Nigdy potem go nie spotkałem .

- Trudno. To i tak ciekawa historia. Idę na podwórko. Będę trenować jak ty kiedyś. Będę najlepsza – odparła wybiegając z mieszkania.

Budzę się ze snu zlany zimnym potem. Człapie do łazienki i staję przed lustrem. Spoglądam na siebie. Pamiętam Dávida do dziś. Mam gdzieś zdjęcie, na którym opalony jak Murzyn, przy dekoracji zwycięzców biegu na czterysta metrów, schyla się po srebrny medal. Pamiętam, że chwilę później rozdają medale za setkę. Zamieniamy się miejscami.

Jestem dziś starszy kilkanaście lat. Cięższy o tyle samo kilogramów. Na głowie włosy mam rzadsze, a pod nimi tkwi bagaż doświadczeń. Nie wiem jak tamten chłopak dzisiaj wygląda i nie zastawiam się nad tym. To przez Dávida nie znoszę grudnia, gwiazdki i świąt. Przez niego poznałem też jeszcze jedno słowo w jego języku.

W następne wakacje Słowacy znów przyjechali do naszej szkoły. Nie było go z nimi więc zapytałem.

- Leukemia - to znaczy białaczka. - Nie przyjechał, bo umarł.

- Kiedy? - spytałem.

- 4 grudnia.

**Pamięci Dávida B.**

# *Dom Aniołów Stróżów*

## Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom i Młodzieży

### **krótka historia**

**W 1991 roku** po raz pierwszy zobaczyliśmy z bliska młodych, którzy mieli kilka czy kilkanaście lat i bagaż życiowych doświadczeń, którego nie uniósłby niejeden dorosły. To było niesamowite odkrycie. Po raz pierwszy w życiu zobaczyliśmy zupełnie inny świat: dziewczyny stojące na ulicy, złodziei - kieszonkowców, ludzi mieszkających w kanałach, meliny i dzieci bez przyszłości, które wachały klej. Tak rozpoczęła się misja uliczna.

**Na początku** spotykaliśmy się na ulicach, klatkach schodowych i dworcu.

**W grudniu 1994 roku** znaleźliśmy w Katowicach zrujnowany dom, naprzeciw dworca kolejowego. Wchodząc do środka zapaliliśmy zapalniczkę i zmówiliśmy modlitwę do Aniołów Stróżów. Zostali do dzisiaj jako nasi patronowie. Dwa miesiące później nastąpiło poświęcenie naszego Domu.

**Od 1995 roku** prowadziliśmy środowiskowy program resocjalizacyjno - wychowawczy „BYĆ”. Celem tego programu była pomoc młodzieży odrzuconej, zaburzonej emocjonalnie, zdemoralizowanej i dotkniętej przestępczością, uzależnionej od substancji

psychoaktywnych, młodocianym przestępcom i prostytutkom.

**W latach 1999 - 2002** realizowaliśmy program „ULICA” w ramach, którego działał Punkt Pracowników Ulicznych. Działalność Punktu skierowana była do młodzieży odrzuconej, żyjącej na pograniczu patologii, realnie zagrożonej różnymi jej formami, pochodzącej z rodzin dysfunkcyjnych.

**W 2001 roku** powstały dwie świetlice: w Katowicach - Śródmieściu oraz w Katowicach - Załężu.

**W 2004** roku otrzymaliśmy od władz Miasta Katowice nowy budynek i oprócz dwóch świetlic powstało ognisko wychowawcze dla dzieci w wieku przedszkolnym.

Od tego momentu na terenie Załęża prowadzimy systemową pomoc na rzecz dzieci, młodzieży i ich rodzin zagrożonych wykluczeniem społecznym.

**W 2009 roku** powstał Socjoterapeutyczny Klub Młodzieżowy oraz rozszerzyliśmy działalność Poradni Rodzinnej.

Obecnie prowadzimy w Katowicach - Załężu Środowiskowy Program Psychoprofilaktyczny dla Dzieci i Młodzieży oraz ich Rodzin Zagrożonych Marginalizacją Społeczną, w ramach którego oferujemy systemową pomoc dzieciom i ich rodzinom mającym poważne problemy wychowawcze, rodzinne i socjalno - bytowe. Jednocześnie prowadzimy program szkolenia wolontariatu stwarzający studentom i absolwentom

śląskich uczelni możliwość nabycia praktycznej wiedzy i umiejętności w zakresie pomocy dzieciom, młodzieży i rodzinom marginalizowanym społecznie.

## *O Wydaje.pl*

Wydaje.pl jest serwisem self publishing, w którym każdy może wydać swoją książkę – od beletrystyki po prace naukowe. Publikować można w wersji elektronicznej oraz drukowanej, bezpłatnie lub korzystając z płatnych usług wydawniczych (korekta, skład, redakcja).

Serwis został założony 1 stycznia 2011 roku i do tej pory odnosi ogromne sukcesy na rynku wydawniczym, ze względu na swoje dynamiczne i innowacyjne działania w branży. Od początku istnienia cieszy się również sporym zainteresowaniem mediów, społeczności autorów oraz czytelników.

Wydaje.pl postanowiło w tym roku zorganizować akcję *Napiszmy razem Świąta*, z której cały zysk zostaje przeznaczony na Dom Aniołów Stróżów.

Jeżeli kupiłeś i czytasz tą publikację, pomagasz dzieciom i młodzieży z trudnych środowisk uczynić Świąta lepszymi. Dzięki Tobie również do ich domów może zawitać Duch Święt Bożego Narodzenia.

**Dziękujemy!**

*Zespół Wydaje.pl*

## *Dodatek świąteczny*

Psssst.....Zajrzyj tutaj ;-)

<http://www.youtube.com/user/wydaje/>

## Partnerzy akcji:

